

**BRIAN LUMLEY**

**NEKROSKOP**  
**WAMPIRY**

**Przekład: Jarosław Irzykowski**

**NEKROSKOP**  
**2**

vis-à-vis  
**etiuda**  
Kraków 2023

[Kup książkę](#)

**BRIAN LUMLEY**

# **NEKROSKOP**

## **WAMPIRY**

**Przekład: Jarosław Irzykowski**



# **NEKROSKOP**

# **2**

vis-à-vis  
*etiuda*  
Kraków 2023

Tytuł oryginału: *Necroscope®Wamphyri!*  
Copyright © 1988 by Brian Lumley

Dla Dave'a i Pete'a, i tych wszystkich gości, których napotkałem w Domu na Pograniczu w lipcu 1986. Zdrówko!



*Liczne i wielokształtne okropności kryje w sobie Ziemia, kalające jej losy od zarania. Śpią one pod kamieniem dawno nieprzewracanym; wyrastają wraz z drzewem z jego korzeni; przemieszczają się pod dnem morskim i pod ziemią; bytują w najgłębszych audytonach; czasem zaś opuszczają grobowce z przepysznego brązu i gliną pieczętowane mogiły. Jedne człowiek poznał dawno temu, inne, jeszcze jemu nieznane, wyglądają przeraźliwych dni swojego objawienia. Tamte, które ze wszystkich są najstraszliwsze i wstrętne najbardziej, trafem jakimś dopiero zostaną zapowiedziane. Ale i między tymi, co ongiś już się odsłoniły i potwierdziły swoje istnienie, istnieje jeden, którego imienia otwarcie nie można przywołać, przez jego bezmierną plugawość. A jest to pomiot utajonego mieszkańca podziemi, poczęty na śmiertelność...*

CLARK ASHTON SMITH



*Mówią, plugastwa przedwieczne wciąż jeszcze się czają  
W mroku swych kryjówek, całkiem zapomnianych,  
A w nocy niektóre na oścież się Brama otwiera,  
Uwalniając, co w piekle spętane...*

ROBERT E. HOWARD  
(jako Justin Geoffrey)



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Popołudnie, ostatni poniedziałek stycznia 1977, godzina czternasta trzydzieści czasu środkowoeuropejskiego; Zamek Bronnicy w pobliżu szosy sierpuchowskiej, niedaleko Moskwy. W Tymczasowym Centrum Badań zadzwonił telefon...

Zamek Bronnicy wznosił się na torfiastej polanie, pośrodku drogi otoczonej gęstym lasem, białej teraz od śniegu. Dom, czy raczej dwór, odarty ze swego dziedzictwa, łączył w sobie koncepcje architektoniczne kilku epok. Parę skrzydeł wzniesiono niedawno na starych, kamiennych fundamentach, używając do tego nowoczesnej cegły. Inne dobudowano z tanich bloków żużlu, pomalowanych na zielono i szaro – w barwy ochronne. Dawny dziedziniec, zamknięty skrzydłami pałacu, osłonięto dachem, pomalowanym również tak, by zlewał się z otoczeniem. Osadzone w masywnych, spadziście zakończonych ścianach szczytowych, bliźniacze minarety wznosiły się wysoko ponad okolicę splekane, baniaste kopuły o zabitych deskami oknach, przypominających zamknięte oczy. Twierdza miała sprawiać wrażenie miejsca opustoszałego: górne piętra wieżyczek pozostawiono niszczejące, niczym zepsute kły. Z lotu ptaka zamek wyglądał na starą, zapadłą ruinę. Miało się to jednak dalece z prawdą.

Przed zadaszonym dziedzińcem stała dziesięcotonowa ciężarówka z odrzuconymi połami plandeki. Rura wydechowa wypuszczała w mroźne powietrze ostry, niebieskawy dym. Agent KGB, w charakterystycznym „mundurze” – znoszonym kapeluszu i ciemnoszarym płaszczu – spojrzał na załadowaną platformę samochodu i wzdrygnął się. Wpychając dłonie głęboko w kieszenie, odwrócił się do drugiego mężczyzny, ubranego w biały kitel technika.

– Towarzyszu Krakowicz – mruknął. – Czym oni są, u diabła? I co tutaj robią?

Feliks Krakowicz zerknął na niego.

– Gdybym wam powiedział, nie zrozumielibyście. A gdybyście zrozumieli, nie uwierzylibyście.

Podobnie jak jego szef, Grigorij Borowicz, Krakowicz uważał wszystkich funkcjonariuszy KGB za półgłówków. Wolał ograniczać udzielanie im informacji oraz pomocy do kompletnego minimum, rzecz jasna w granicach przyzwoitości i bezpieczeństwa osobistego. KGB nie celowało w wybaczeniu i zapominaniu.

Agent wzruszył ramionami i zapalił krótkiego brązowego papierosa, zaciągając się głęboko przez kartonową tutkę.

– Jednak mnie sprawdźcie – powiedział. – Zimno tu, ale mnie jest dość ciepło. Widzicie, kiedy udam się z raportem do towarzysza Andropowa – a zapewne nie muszę przypominać wam, jaką pozycję zajmuje w politbiurze – będzie oczekiwał ode mnie pewnych odpowiedzi i dlatego ja oczekuję ich od was. Będziemy więc tu stali, aż...

– Zombi! – gwałtownie przerwał mu Krakowicz. – Mu-mie! Ludzie martwi od setek lat. Świadczy o tym też ich uzbrojenie i...

Usłyszał natarczywy dzwonek telefonu i odwrócił się ku drzwiom.

– Dokąd idziecie? – Agent KGB drgnął, wyciągając ręce z kieszeni. – Oczekujecie, że powiem Jurijowi Andropowowi, że tej masakry... dokonali truposze?

Niemal udławił się dwoma ostatnimi słowami, rozkaszał się głośno, na koniec splunął.

– Skoro staliście tak długo wśród spalin – rzucił przez ramię Krakowicz – paląc ten siekany sznurek, równie dobrze możecie wleźć do nich, na platformę! – Przeszedł przez drzwi, zamykając je z trzaskiem.

– Zombi? – Agent zmarszczył brwi i znów spojrzał na ciężarówkę pełną trupów.

Nie wiedział, że byli to Tatarzy krymscy, wyróżnieni w roku 1579 przez rosyjskie posiłki śpieszące na odsiecz łupionej Moskwie. Spoczęli w torfie, który zakonserwował ich ciała. Poginęli i legli we krwi i błocie, by przed dwiema nocami powrócić, wypowiadając wojnę Zamkowi Bronnicy. Tatarzy i ich młody przywódca, Anglik Harry Keogh, wygrali ten bój, gdyż walkę przeżyło zaledwie pięciu obrońców placówki. Krakowicz był jednym z tej piątki. Pięciu z pięćdziesięciu trzech, a jedyną ofiarą po stronie wroga był sam Harry Keogh. Zdumiewająca dysproporcja, jeśli nie liczyć Tatarów.

A ich liczyć byłoby trudno, skoro nie żyli już przed rozpoczęciem walki...

O tym właśnie myślał Krakowicz, wchodząc na dawny dziedziniec, będący obecnie ogromną halą wyłożoną plastikowymi płytkami i podzieloną na sale, niewielkie apartamenty i laboratoria. Pracownicy Wydziału E prowadzili badania i doskonalili swe talenty ezoteryczne we względnym komforcie, w takich warunkach i otoczeniu, jakie najlepiej służyły ich pracom. Przed czterdziestoma ósmioma godzinami placówka ta wyglądała nieskazitelnie, teraz, w miejscach gdzie kule podziurawiły ścianki działowe, a wybuchy porozrywały sufity, przypominała zgliszczą.

Skutki eksplozji i pożaru były widoczne na każdym kroku. Dziw, że to miejsce nie spaliło się doszczętnie.

W uporządkowanej z grubsza części hali, nazwanej Tymczasowym Centrum Badań, ustawiono stół, a na nim telefon. Krakowicz zatrzymał się na moment, żeby odciągnąć na bok kawał przegrody, tarasujący mu częściowo drogę. Pod spodem zobaczył na wpół zagrzebaną w pokruszonym gipsie i tłuczonym szkłem ludzką rękę, przypominającą wielkiego szarego ślimaka. Ciało wyszło na wiór, przybrało barwę starej skóry, a kość stercząca z ramienia była lśniąco biała. Krakowicz przypomniał sobie, jak ostatniej nocy podobne strzępy pełzały, walczyły, zabijały.

Wzdrygnął się, odsunął butem ramię na bok i podszedł do telefonu.

– Halo, tu Krakowicz.

– Kto? – To był kobiecy głos, bardzo pewny swego. – Krakowicz? Wy tu dowodzicie?

– Sądzę, że tak. Ja – odpowiedział. – Czym mogę wam służyć?

– Mnie niczym. Ale pewnie towarzyszy pierwszy sekretarz wam to powie. Próbuje się z wami połączyć już od pięciu minut!

Krakowicz padał ze zmęczenia. Nie spał od owej koszmarniej nocy, wątpił, czy kiedykolwiek zaśnie. Wraz z czterema pozostałymi niedobitkami, z których jeden zwariował, wydostał się z komory bezpieczeństwa dopiero w niedzielę rano, kiedy wszystko się uspokoiło. Od tamtej pory jego towarzysze zdążyli już złożyć zeznania i zostali odesłani do

domów. Zamek Bronnicy był placówką ściśle tajną, ich opowieści powinny więc pozostać w tajemnicy. Krakowicz zażądał, by całą sprawę niezwłocznie przekazano Leonidowi Breżniewowi. Tak też głosił regulamin: Wydział E podlegał osobiście i bezpośrednio Breżniewowi, mimo iż pierwszy sekretarz scedował to na Grigorija Borowitza. Wydział był ważny dla przewodniczącego partii, Breżniew zapoznawał się ze wszystkimi efektami jego działania. Borowitz musiał także informować go obszernie na temat prac psychotronicznych wydziału – prawdziwie paranormalnego szpiegostwa – Breżniew powinien być więc choć w części przygotowany do oceny tego, co wydarzyło się w placówce. Na to przynajmniej liczył Krakowicz. Tak czy inaczej było to lepsze niż próba wyjaśnienia wszystkiego Jurijowi Andropowowi.

– Krakowicz? – szczerknęło w słuchawce.

– Hm, tak jest, Feliks Krakowicz. Z zespołu towarzysza Borowitza.

– Feliks? Po co podajecie mi imię? Sądziecie, że będę zwracał się do was po imieniu? – Pierwszy sekretarz mówił ostrym tonem. Krakowicz słyszał kilka z nieszczęsnych przemówień Breżniewa.

– Ja... nie, oczywiście, że nie, towarzyszu pierwszy sekretarzu. Ale ja...

– Słuchajcie, wy tam dowodzicie?

– Tak, ja, towarzyszu pier...

– Dajcie sobie z tym spokój – zgrzytnął Breżniew. – Potrzebuję wyjaśnień, a nie przypominania mi, kim jestem. Nie przeżył nikt wyższy od was rangą?

– Nie.

– Ktoś równy wam rangą?

– Czterech, w tym jeden obłąkany.

– Co? – wrzasnął Breżniew.

– Postradał zmysły, kiedy... kiedy to się stało.

– Wiecie, że Borowitz nie żyje?

– Tak, sąsiad znalazł go w jego daczcy w Żukowce. Sąsiad to były funkcjonariusz KGB. Skontaktował się z towarzyszem Andropowem, który przysłał tu swojego człowieka. Ten człowiek jest teraz na miejscu.

– Znam jeszcze jedno nazwisko – dociekał niski, chrapliwy głos Breżniewa. – Borys Dragosani. Co z nim?

– Nie żyje. – Krakowicz nie zdążył powstrzymać słów. –  
Dzięki Bogu!

– Co? Cieszycie się, że jeden z waszych towarzyszy nie  
żyje?

– Ja...? Tak, cieszę się. – Krakowicz był zbyt zmęczony,  
by cokolwiek owijać w bawełnę. – Sądzę, że brał udział  
w tym spisku, a przynajmniej ściągnął ich na nas. O tym je-  
stem przekonany. Jego ciało jeszcze tu jest. Podobnie ciała  
innych naszych... i tego Harry’ego Keogha, zapewne brytyj-  
skiego agenta. A także...

– Tatarzy? – Breżniew był już spokojny.

Krakowicz odetchnął z ulgą. Pierwszy sekretarz nie oka-  
zał się jednak niewolnikiem schematów.

– Też, ale już nie są... aktywni – odpowiedział.

– Krakowicz... hm, Feliks, powiadasz? Czytałem zezna-  
nia pozostałej trójki. Mówią prawdę? Żadnej szansy na po-  
myłkę, zbiorową hipnozę, omamy czy coś takiego? Napraw-  
dę było aż tak źle?

– To wszystko prawda, żadnych pomyłek. Było aż tak źle.

– Posłuchaj, Feliksie. Trzeba się tym zająć. To znaczy  
chcę, żebyś ty się tym zajął. Wydział E nie może zostać za-  
mknięty. Na rzecz naszego bezpieczeństwa działał więcej,  
niż można by przypuszczać. A Borowicz był dla mnie cennie-  
szy niż większość moich generałów. Zamierzam odtworzyć  
ten wydział. I wygląda na to, że masz robotę.

Krakowicz został zaskoczony, propozycja zbiła go z nóg.

– Ja... towarzyszu... to znaczy...

– Dasz radę?

Krakowicz nie był niespełna rozumu. Taka szansa trafiała  
się tylko raz w życiu.

– To zajmie lata... ale tak, spróbuję temu podołać.

– Świetnie. Ale jeśli się tym zajmiesz, nie będziesz mógł  
poprzestać na próbach, Feliksie. Daj mi znać, czego ci trze-  
ba, a ja zadbam, abyś to dostał. Przede wszystkim chcę wyja-  
śnień. I chcę być jedynym, który je pozna, rozumiesz? Tę  
sprawę trzeba wyciszyć. Żadnych przecieków. Mówiłeś, że  
jest z tobą ktoś z KGB?

– Jest na zewnątrz, na polanie.

– Sprowadź go – głos Breżniewa znów stał się szorstki. –  
Ściągnij go do telefonu. Chcę natychmiast z nim rozmawiać!

Krakowicz ruszył z powrotem, ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich ten, o którym rozmawiali. Naprężył barki, spojrzał na Krakowicza zwięzonymi, przesyconymi pewnością siebie oczyma.

– Nie skończyliśmy jeszcze, towarzyszu...

– Obawiam się, że tak. – Krakowicz czuł się wypruty, lekki jak korek. To chyba zmęczenie zaczynało działać. – Ktoś chce z wami rozmawiać.

– Ze mną? – Agent przepchnął się do telefonu. – A kto to, ktoś z urzędu?

– Nie jestem pewien – skłamał Krakowicz. – Chyba z samej góry.

Kagiebowiec spojrzał na niego krzywo i porwał ze stołu słuchawkę.

– Tu Janow. Co jest? Mam tu robotę i...

Jego twarz raptownie się zmieniła. Poderwał się i o mało nie upadł.

– Tak jest! O, tak jest! Tak jest! Tak, tak jest! Nie, towarzyszu. Tak, towarzyszu. Ale ja... nie, towarzyszu. Tak jest!

Kiedy podawał Krakowiczowi słuchawkę, szczęśliwy, że się od niej uwalnia, wyglądał na chorego.

– Durniu! To pierwszy sekretarz! – syknął wściekle.

Krakowicz postarał się, by jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe, po czym rozdziawił usta.

– Tu Krakowicz. – Chwycił słuchawkę i podsunął ją agentowi.

– Feliksie? Czy ten palant już poszedł?

Człowiek z KGB rozdziawił usta.

– Już idzie – odpowiedział Krakowicz. Ostрым skinieniem głowy wskazał drzwi. – Wynocha! I postarajcie się pamiętać, co powiedział wam pierwszy sekretarz. Dla waszego własnego dobra.

Agent potrząsnął głową w oszołomieniu, zwilżył wargi i ruszył ku drzwiom. Nadal był błądy jak ściana. Przy framudze odwrócił się, wysuwając podbródek.

– Ja... – zaczął.

– Żegnajcie, towarzyszu – zwolnił go Krakowicz. – Wreszcie poszedł – stwierdził, słysząc trzask drzwi.

– Świetnie! Nie chcę, żeby się wtrącali, żeby czepiali się Grigorija i mieszały się w twoje sprawy. Jakies problemy

z nimi, to zwracasz się bezpośrednio do mnie! – rozkazał Breżniew.

– Tak jest.

– A oto, czego chcę... Ale najpierw powiedz mi, czy akta wydziału ocalały.

– Niemal wszystko ocalało. Ucierpieli jedynie nasi agenci. Wiele zniszczono, ale akta, instalacje i sam zamek, jak sądzę, są w dobrym stanie. Siły robocze to inna historia. Zostaliśmy tylko ja i tamtych trzech niedobitków, jeszcze sześćcioro na urloпах w różnych stronach kraju, trzech niezłych telepatów, na stałe oddelegowanych do obserwacji ambasad Anglii, Ameryki i Francji, i do tego czterech czy pięciu agentów terenowych poza krajem. Zginęło dwadzieścia osiem osób, straciliśmy prawie dwie trzecie zespołu. Większość najlepszych ludzi nie żyje.

– Tak, tak – niecierpliwił się Breżniew. – Siły robocze to ważna sprawa, dlatego pytałem o akta. Nabór? To twoje pierwsze zadanie. Zajmie wiele czasu, wiem, ale zabieraj się do tego. Stary Grigorij mówił mi kiedyś, że macie specjalistów od wykrywania ludzi posiadających dziwne zdolności, tak?

– Nadal mam dobrego wykrywacza – odpowiedział Krakowicz, nieświadomie kiwając głową. – Zacznę z nim natychmiast. I oczywiście zajmę się przestudiowaniem akt towarzysza Borowitza.

– Dobrze! I zorientuj się, jak szybko możesz uprzątnąć zamek. Te tatarskie trupy spal! Niech nikt ich nie ogląda. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz – ma być zrobione. Potem trzeba będzie opracować harmonogram remontu twierdzy. Mam tutaj, pod tym numerem telefonu, człowieka, z którym będziesz mógł się połączyć o każdej porze w każdej sprawie. Informuj go na bieżąco, a on będzie informował mnie. Będzie też twoim bezpośrednim zwierzchnikiem, wyjąwszy fakt, iż nie będzie ci mógł niczego odmówić. Widzisz, jak wysoko cię cenię, Feliksie? Tak, to wystarczy na początek. Co do reszty, Feliksie Krakowicz, chcę wiedzieć, jak do tego doszło! Czy ktoś – Brytyjczycy, Amerykanie lub Chińczycy – tak bardzo nas wyprzedził? W jaki sposób jeden człowiek, ten Harry Keogh, mógł spowodować takie spustoszenie?

– Towarzyszu – zauważył Krakowicz – wspomnieliście o Borysie Dragosanym. Obserwowałem go kiedyś przy pracy.

Był nekromantą. Wywachiwał sekrety umarłych. To, co wyprowadził z trupami, przypłaciło mi o miesiąc koszmarnych snów! Pytacie, jak Harry Keogh mógł wywołać takie spustoszenie? Z nielicznych danych, jakie udało mi się zebrać, wynika, że był on zdolny niemal do wszystkiego. Telepatia, teleportacja, nawet specjalność Dragosaniego – nekromancja. Był ich najlepszym człowiekiem. Sądzę nawet, że o wiele wyprzedził Dragosaniego. Torturowanie zmarłych i wydzieranie sekretów z ich krwi, mózgu i trzewi to jedno, ale czym innym jest wywoływanie ich z grobów i wysyłanie w bój w imię narzuconych im celów!

– Teleportacja? – Pierwszy sekretarz zamyślił się. – Wiesz, im więcej o tym słyszę, tym mniej skłonny jestem wierzyć. Nie uwierzyłbym, gdybym nie oglądał efektów prac Borowitza. I jak inaczej miałbym wyjaśnić kwestię paruset tatarskich trupów, co? Ale jak dotąd... wystarczy tej rozmowy. Mam inne sprawy na głowie. Za pięć minut na tej linii obejmie służbę nasz pośrednik. Przemyśl sprawę i powiedz mu, co trzeba zrobić. Wszystko, co uznasz za niezbędne. Może i on ci coś podsunie. Pracował już przedtem przy takich sprawach. No, nie całkiem takich! I ostatnia rzecz...

– Tak? – W głowie Krakowicza panował mętlik.

– Wyrażę to wprost: chcę wyjaśnień. Najszybciej, jak się da. Muszę jednak wyznaczyć jakąś granicę, niech to będzie rok. Za rok wydział będzie już pracować ze stuprocentową wydajnością, a my obaj dowiemy się wszystkiego. I wszystko zrozumiemy. Wiesz, Feliksie, kiedy uzyskamy odpowiedzi na wszystkie pytania, będziemy równie mądrzy jak ci, którzy spowodowali ten atak. Racja?

– Wydaje się to logiczne, towarzyszu pierwszy sekretarzu.

– Jest logiczne, więc zabierz się do roboty. Powodzenia...

Słuchawkę wypełniło przeciągłe brzęczenie. Krakowicz odłożył ją ostrożnie na widełki, popatrzył na nią przez chwilę, po czym ruszył w kierunku drzwi. W głowie formułował już listę spraw do załatwienia, według wstępnej hierarchii ważności. Na Zachodzie tak potężnej tragedii nigdy nie udało się zataić, ale tu, w ZSRR, nie powinno to sprawić najmniejszych trudności.

1. Zabici mieli rodziny. Trzeba je teraz nakarmić jakąś historijką, może o „katastrofie”. To musi wziąć na siebie pośrednik.

2. Trzeba natychmiast zwołać cały personel Wydziału E. Łącznie z trójką, która przetrwała masakrę. Są na tyle mądrzy, by o niczym nie rozpowiadać.

3. Ciała dwudziestu ośmiu współpracowników z Wydziału E należy zebrać, złożyć w trumnach i przygotować do pochówku. Wszystko to załatwi się na miejscu, rękoma niedobitków i tych, którzy powrócą z urlopów.

4. Natychmiast należy rozpocząć nabór.

5. Należy powołać zastępcę, aby od razu wszcząć uporządkowane śledztwo w pełnym zakresie.

Na polanie odnalazł kierowcę ciężarówki, młodego sierżanta.

– Nazwisko? – zapytał obojętnie.

– Sierżant Gulcharow, towarzyszu! – poderwał się żołnierz.

– Imię?

– Siergiej, towarzyszu!

– Siergieju, mów mi Feliks. Powiedz, czy słyszałeś kiedyś o Kocie Feliksie?

Żołnierz pokręcił głową.

– Mam przyjaciela, który kolekcjonuje stare filmy, kreskówki – wyjaśnił mu Krakowicz, wzruszając ramionami. – Ma szereg kontaktów, mniejsza o to. W amerykańskich kreskówkach występuje taka zabawna postać, Kot Feliks. Ten Feliks to bardzo ostrożny gość. Koty zazwyczaj takie są, wiesz? W armii brytyjskiej saperów nazywa się Feliksami, tak ostrożnie muszą postępować. Może matka powinna była dać mi na imię Siergiej, co?

– Towarzyszu? – sierżant podrapał się w głowę.

– Nieważne – uciął Krakowicz. – Powiedz, masz zapas paliwa?

– Tyle co w zbiorniku, towarzyszu. Około pięćdziesięciu litrów.

– Dobra, wsiadamy do wozu. Pokażę ci, jak jechać.

Skierował go poza zamek, do bunkra przy lądowisku dla helikopterów. Tam trzymano awgas – paliwo lotnicze.

– Co tu się wydarzyło, towarzyszu? – zapytał sierżant.

Dopiero teraz Krakowicz zauważył, że oczy żołnierza są szkliste. Sierżant wcześniej pomagał ładować na platformę potworne szczątki rozkładających się trupów.

– Nie zadawaj więcej takich pytań – odpowiedział. – Przy najmniej tak długo, jak będziesz tu przebywał, a to potrwa prawdopodobnie bardzo, bardzo długo. Nie zadawaj żadnych pytań. Rób tylko to, co ci każą.

Załadowali kanistry z awgasem na skraj platformy i pojechali do zadrzewionego zakątka opodal zamku, gdzie grunt był szczególnie bagnisty. Siergiej Gulcharow protestował, ale Krakowicz kazał mu jechać, aż ciężarówka ugrzęzła całkiem w śniegu i błocie.

– Wystarczy – zawołał, kiedy nie mogli już ruszyć z miejsca.

Wysiedli i wyładowali paliwo, a sierżant, pomimo protestów, pomógł oblać nim wnętrze ciężarówki.

– Zostało w samochodzie coś, co chcesz zachować? – zapytał Krakowicz.

– Nie, towarzyszu. – Gulcharow drgnął. – Towarzyszu, hm, Feliksie, nie możesz tego zrobić! Nie możemy tego zrobić! Czekam na to sądownictwo, może nawet rozstrzelanie! Kiedy wrócę do koszar, oni...

– Żonaty czy kawaler? – Krakowicz znaczył cienką stróżką paliwa drogę od ciężarówki pomiędzy drzewa. Awgas zostawił w śniegu ciemną szczelinę.

– Kawaler.

– Ja również. Cóż, nie wrócisz do koszar, Siergieju. Od tej chwili będziesz pracował ze mną, na stałe.

– Ale...

– Żadnych ale. To rozkaz pierwszego sekretarza. Powinieneś czuć się zaszczycony!

– Ale mój starszy sierżant i pułkownik, oni...

– Uwierz mi – Krakowicz znów wszedł mu w słowo. – Będą z ciebie dumni. Palisz, Siergieju? – Poklepał kieszenie już nie tak białego kitla, znalazł papierosy.

– Tak, towarzyszu, czasem.

Poczęstował go papierosem, drugiego włożył sobie do ust.

– Zdaje się, że zapomniałem zapalek.

– Towarzyszu, ja...

– Zapalki – zażądał Krakowicz, wyciągając dłoń.

Gulcharow uległ, sięgnął do głębokiej kieszeni. Pomyślał, że jeżeli Krakowicz oszalał, jemu powinno to wyjść na dobre. Tamtego zamkną, podczas gdy on sam – sierżant Siergiej – zostanie oczyszczony z zarzutów. Przyjął więc, że jego przełożony postradał zmysły, i postanowił zaskoczyć go nie zwlekając. Przygotował się do ataku.

Krakowicz odkrył, co go może czekać, z kilkusekundowym wyprzedzeniem. Na tym polegał jego talent: prekognicja, przewidywanie przyszłości. W takich sytuacjach sprawdzał się równie dobrze jako telepata. Krakowicz niemal czuł napięcie mięśni młodego sierżanta.

– Jeżeli to zrobisz – powiedział szybko, wpatrując się prosto w oczy żołnierza – naprawdę czeka cię sąd wojskowy!

Gulcharow zagryzł wargę, zacisnął palce w pięść, rozprostował je, potrząsnął głową i cofnął się o krok.

– No? – Krakowicz był cierpliwy. – Rzeczywiście sądzisz, że na próżno powołałem się na pierwszego sekretarza?

Sierżant wyjął pudełko zapalek i podał je Feliksowi. Odśunęli się od strużki awgasu. Krakowicz zapalił oba papierosy, osłonił dłonią płomień, a zapalkę cisnął na oblany paliwem śnieg.

Błękitne, niemal niewidoczne płomienie skoczyły ku ciężarówce oddalonej o jakieś trzydzieści metrów. Śnieg w kotlinie zapadł się pod wpływem nagłego żaru, a samochód zapłonął oślepiającym blaskiem jasnoniebieskiego światła.

Obaj mężczyźni cofnęli się, obserwując pnące się coraz wyżej płomienie. Słychać było trzask pękających kości wielowiekowych trupów pogrążonych w wesoło buzującym ogniu. „Wracajcie, skąd przyszliście, chłopaki – pomyślał Krakowicz. – Już nikt nigdy nie będzie was nękał!”.

– Rusz się – polecił głośno. – Uciekamy, zanim pójdzie zbiornik paliwa.

Przedzierając się niezdarnie przez śnieg, pobiegli w stronę zamku. Jakimś cudem zbiornik eksplodował dopiero wtedy, gdy byli już w cieniu budowli. Słyszając przetaczający się huk, czując gwałtowny podmuch, spojrzeli za siebie. Szoferka, podwozie i platforma rozpadły się, w śnieg zwały się dopalające się szczątki, a wysoko nad drzewa uniósł się grzyb dymu. Dokonało się...

Krakowicz od jakiegoś czasu rozmawiał przez telefon ze swoim pośrednikiem, zdawać by się mogło, w znikomym stopniu zainteresowanym jego słowami. Mimo takiego wrażenia rozmówca dokładnie wypytywał o każdy szczegół, uważnie słuchał, chciał mieć wszystkie informacje.

– Mam nowego asystenta, sierżanta Siergieja Gulcharowa z baraków zaopatrzeniowo-transportowych w Sierpuchowie. Zatrzymuję go. Możecie go od tej chwili przydzielić do zamku? Jest młody i silny. Będę miał dla niego wiele pracy.

– Tak, załatwię to – odpowiedź była spokojna i jednoznaczna. – Będzie waszą złotą rączką, tak?

– I ewentualnie agentem ochrony – dodał Krakowicz. – Fizycznie niewiele stanowię.

– Doskonale. Zorientuję się, czy da się go umieścić na wojskowym kursie ochrony osobistej. Szkolenie w zakresie broni palnej też wchodzi w grę, jeżeli nie jest w tym zbyt mocny. Oczywiście, możemy pójść na skróty i znaleźć wam zawodowca.

– Nie – Krakowicz postawił sprawę jasno. – Żadnych zawodowców. Ten wystarczy. Niewiniątko z niego, to mi się podoba.

– Krakowicz? – spytał głos z drugiego końca linii. – Jedno muszę wiedzieć. Jesteście homoseksualistą?

– Jasne, że nie! Aha, rozumiem! Nie, naprawdę go potrzebuję. Wyjaśnię, czemu chcę go od zaraz: bo jestem zupełnie sam. Gdybyście byli tutaj, wiedzielibyście, o co mi chodzi.

– Tak, słyszałem, że wiele przeszliście. Doskonale, resztę mi zostawcie.

– Dziękuję – zakończył Krakowicz. Przerwał połączenie. Gulcharow był pod wrażeniem tej rozmowy.

– Od ręki – zauważył. – Macie dużą władzę, towarzyszu.

– Na to wygląda, nieprawdaż? – Na twarzy Krakowicza pojawił się wymęczony uśmiech. – Słuchaj, lecę z nóg. Ale zanim pójde spać, jedno jeszcze musimy załatwić. I uwierz mi, jeśli sądzisz, że to, co widziałeś do tej pory, jest nieprzyjemne, teraz zobaczysz coś o wiele gorszego! Chodź ze mną.

Poprowadził go przez zdemolowane pokoje, pracownie, poza zadaszony dziedziniec, do głównego budynku. Potem

starymi schodami dwa piętra w górę, do jednej z bliźniaczych wieżyczek. Tu właśnie Grigorij Borowicz miał swoje biuro, które w noc grozy Dragosani zamienił w punkt dowodzenia.

Klatka schodowa była poszczerbiona i osmalona, pełna maleńkich odłamków szrapneli, spłaszczonych ołowianych kul i porozrzucanych miedzianych łusek. W stojącym powietrzu unosił się jeszcze zapach kordytu. Drzwi do małego przedpokoju na drugim piętrze były otwarte. W pomieszczeniu urzędował sekretarz Borowitza Julij Galeński. Krakowicz znał go osobiście – dość ograniczonego człowieczka bez żadnych talentów nadzmysłowych.

Na podeście, pomiędzy otwartymi drzwiami a poręczą, leżał twarzą do posadzki martwy człowiek w mundurze ochronny zamku: szarym kombinezonie z żółtym ukośnym paskiem na poziomie serca. Nie był to Galeński, ale oficer dyżurny. Twarz trupa zanurzona była na płasko w kałuży krwi. Za bardzo. Wszystko dlatego, że z samej twarzy niewiele zostało, poza żywym mięsem.

Krakowicz i Gulcharow przestąpili ostrożnie ciało, kierując się do małego sekretariatu. W kącie za biurkiem siedział skulony Galeński. Oburącz ścisnął pordzewiałą, krzywą szablę sterczącą mu z piersi. Wbito ją z taką siłą, że ostrze weszło w ścianę. Oczywiście nadal otwarte, ale nie było już w nich przeżenienia. Niektórym śmierć kradnie wszystkie uczucia.

– Matko przenajświętsza! – szepnął Gulcharow. Pierwszy raz widział coś takiego. Nie przeszedł jeszcze chrztu ognio-  
wego.

Przez drugie drzwi weszli do pokoju mieszczącego niegdyś biuro Borowitza.

Pomieszczenie było obszerne, o wielkich oknach z kulo-  
odpornymi szybami, spoglądających z kamiennej wieży na odległy las. Dywan gdzieś tam był popalony i pokryty plamami. Masywna bryła dębowego biurka stała w rogu, czerpiąc światło z okna i poczucie bezpieczeństwa z bliskości kamiennych ścian. Dostrzegli ślady rzezi. Wszystko przypominało obraz z koszmarne-  
go snu.

Roztrzaskane radio wywaliło swe wnętrzności na podłogę; impet kul podziurawił ściany i rozniósł w drzazgi drzwi; ciało młodego człowieka, ubranego po zachodniemu, leżało tam, gdzie runęło – za drzwiami – przecięte niemal na pół

serią z broni maszynowej. Skrzepnięta krew przykleiła je do podłogi. To ciało Harry'ego Keogha; niewiele zostało tu do oglądania, na jego bladej, nienaruszonej twarzy nie malowały się żadne oznaki strachu czy cierpienia.

To, co opierało się o ścianę po drugiej stronie pokoju, mogło kojarzyć się jedynie z koszmarnym snem lub majakami szaleńca.

– Borys Dragosani – oznajmił Krakowicz. – Sądzę, że opanowała go istota, którą przyszpilono mu do piersi.

Przeszedł ostrożnie przez pokój i zatrzymał się wpatrzony w to, co pozostało z Dragosaniego i jego pasożyta. Gulcharow trzymał się za nim. Wolał przyglądać się z daleka.

Obie nogi nekromanty, złamane, wygięły się pod dziwnymi kątami. Ramiona zwisały bezwładnie wzdłuż ściany, łokcie znajdowały się tuż nad podłogą, przedramiona sięgały w przód, a dłonie wyciągały się daleko poza mankiety. Przypominały szpony, potężne i zachłanne, zastygłe w ostatnim spazmie konającego. Twarz Dragosaniego zamarła w grymasie agonii, a co gorsza, niewiele pozostało w niej z człowieczeństwa.

Szczęki Dragosaniego, wydłużone jak u wielkiego psa, wciąż pozostawały rozwarte, ukazując krzywe igły zębów. Czaszka była zniekształcona, a uszy, spiczasto zakończone, zagięły się do przodu i spoczywały teraz płasko na skroniach. Pod czerwonymi jamami oczu rysował się długi i pomarszczony nos, spłaszczony na końcu, odsłaniający nozdrza rozdzielone niczym pysk wielkiego nietoperza. Tak właśnie wyglądał Dragosani – trochę człowiek, trochę nietoperz. A to, co przywarło do jego piersi, było jeszcze bardziej przerażające.

– Co... co to jest? – wyjąkał Gulcharow.

– Bóg mi świadkiem – pokręcił głową Krakowicz – że nie mam pojęcia! Ale to coś w nim żyło.

Tułów istoty przypominał wielką, niemal osiemnastocelową, pijawkę zwężającą się ku końcowi. Nie miała kończyn. Zdawało się, iż przyssała się do piersi Dragosaniego. Poza tym przytwierdzał ją do jego ciała ostry kołek, szczątek rozłupanej kolby karabinu maszynowego. Skórę miała szarozieloną i pofałdowaną. Gulcharow zauważył też jej łeb, płaski jak u kobry, tyle że bez oczu.

– Jakby... jakby gigantyczny tasiemiec? – Gulcharow nie umiał ukryć przerażenia.

– Coś takiego – ponuro przytaknął Krakowicz. – Ale inteligentny, zły i śmiercionośny.

– Po co tu przyszliśmy? – głos sierżanta zadrżał. – Jest pięćdziesiąt milionów lepszych miejsc.

Twarz Krakowicza była blada, napięta. W pełni podzielał zdanie podwładnego.

– Przybyliśmy tu, bo musimy to spalić. To wszystko.

Talent nadzmysłowy ostrzegł go, że zniszczyć należy tak Dragosaniego, jak i jego pasożyta, i to doszczętnie. Rozejrzał się po pokoju, dostrzegł stalową szafkę opartą o ścianę obok drzwi. Razem z Gulcharowem wyrzucili z niej półki, zmieniając ją w metalową trumnę. Położyli ją i przesunęli po podłodze w kierunku Dragosaniego.

– Łap za ramiona, ja chwycę za uda – zarządził Krakowicz. – Jak wpakujemy go do środka, będziemy mogli zamknąć drzwiczki i spuścić szafkę po schodach. Szczerze mówiąc, nie bawi mnie dotykanie go. Załatwię to tak szybko, jak się da. Tak będzie najlepiej.

Podnieśli ostrożnie ciało, z wysiłkiem dźwignęli je nad krawędź szafki i opuścili do wnętrza. Gulcharow spróbował zamknąć drzwiczki, ale przeszkodził mu w tym sterczący kołek. Sierżant złapał oburącz szczątek kolby.

– Nie dotykaj tego! – wrzasnął, zbyt późno, Krakowicz.

Ledwie Gulcharow wyrwał kołek, pijawkowaty stwór wrócił do życia. Odrażający, obły kadłub zaczął miotać się obląkańczo, nieledwie wydostając się z szafki. W tym samym czasie karbowana skóra pękła w tuzinie miejsc, wypuszczając protoplazmatyczne macki wijące się i wibrujące w bezmyślnej agonii. Wypustki chłostały ściany szafki i zwijały się ponownie, kierując się ku Dragosaniemu. Przebijały ubranie i trupie ciało, kryjąc się w jego wnętrzu. Z korpusu istoty wyłaniały się wciąż nowe macki, wyginały się w haki, wpijały w zwłoki nekromanty. Jedna z nich odkryła klatkę piersiową. Spęczniała raptownie do grubości ludzkiego przegubu. Jednocześnie reszta macek zwolniła swój ucisk i rozpuściwszy haki, wycofała się śladem głównej wypustki w głąb martwego ciała. Wreszcie cały organizm z głuchym młasnieniem pogrzył się w zwłokach Dragosaniego. Tors nekromanty zadygotał i rozkołysał się w szafce.

W tym samym czasie Gulcharow rzucił się w tył, żeby wejść na biurko. Mamrotał na wpół wyraźnie przekleństwa,

to znów skomlał jak pies. Wyraźnie na coś wskazywał. Krakowicz, niemal odrętwiały z przerażenia, zobaczył, że płaski, kobropodobny łeb potwora miota się po podłodze, jak wyrzucona z wody płaszczka. Wpadł w panikę, krzyczał z obrzydzenia. Zatrzasnął jednak szybko drzwiczki szafki i zasunął rygiel. Porwał ze stosu porozrzucanych mebli metalową szufladę.

– No, pomóż mi! – wrzasnął.

Gulcharow zsunął się z biurka. Nadal trzymał kurczowo kolek. Wciąż klnąc pod nosem, szturchał nim podskakujący łeb, aż wepchnął go do szuflady. Krakowicz przykrył ją sto-sem półek, a sierżant dołożył do tego jeszcze dwa ciężkie segregatory. Szafka i szuflada dygotały jeszcze przez kilka minut, potem znieruchomiały.

Krakowicz i Gulcharow stali naprzeciw siebie. Wyglądali upiornie, zdyszani, bladzi, z obłędem w oczach. Wreszcie Krakowicz, warknąwszy coś, wyciągnął rękę i uderzył sierżanta w twarz.

– Ochroniarz? – krzyknął. – Cholerny ochroniarz! – Potwórzył uderzenie, tym razem mocniej. – Do cholery!

– Ja... przepraszam. Nie wiedziałem, co robić... – Gulcharow dygotał jak liść, wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć.

Krakowicz uspokoił się. Nie mógł go za nic winić.

– Już w porządku – powiedział. – Już w porządku. Teraz posłuchaj. Łeb spalimy tutaj. Od tego zaczniemy, już zaraz. Przynieś awgas. Szybko.

Gulcharow wyszedł, zataczając się lekko.

Wrócił w rekordowo krótkim czasie, niosąc kanister. Przesunęli półki leżące na szufladzie, robiąc niewielką szparę, i włali w nią paliwo. Wewnątrz nic się nie poruszyło.

– Dosyć! – polecił Krakowicz. – Jeszcze trochę i wywołamy diabelną eksplozję. Teraz pomóż mi przeciągnąć szafkę do drugiego pokoju.

W chwilę później znaleźli się w biurze. Krakowicz zaczął penetrować szuflady biurka Borowitza. Znalazł to, czego szukał: mały kłębek sznurka. Urwał z dziesięć stóp, zanurzył w paliwie i ostrożnie wsunął jeden koniec do szczeliny. Potem ułożył sznurek na podłodze, kierując go w prostej linii ku drzwiom, i wyjął zapalnik. Kiedy zapalił lont, osłonili oczy.

Błękitny płomień przemknął po podłodze i wskoczył do szuflady. Rozległ się głuchy huk, segregatory, półki oraz cała

reszta rąbnęły o sufit i zwały się na podłogę. W metalowej szufladzie rozpętało się piekło, w którym tańczył i miotał się węzowy łeb. Nie trwało to jednak długo. Szuflada zaczęła giąć się pod wpływem żaru, a dywan wokół niej poczerniał i zapłonął. To coś w środku nadeło się, pękło i rozlało się w dymiącą kałużę. Szybko spłonęło, ale Krakowicz i Gulcharow odczekali pełną minutę, zanim zdecydowali się ugasić ogień.

– No, przynajmniej wiemy, że to jest łatwopalne – stwierdził Krakowicz. – Zapewne już przedtem nie żyło, ale mnie uczono, że to, co jest martwe, leży nieruchomo!

Ściągnęli szafkę dwa piętra niżej, na parter, potem przez spustoszony budynek wypchnęli ją na zewnątrz. Krakowicz został, żeby jej strzec, a Gulcharow wrócił po awgas.

– To będzie nieco trudniejsze. Najpierw rozlejemy trochę paliwa wokół szafki. Dzięki temu, jeżeli po otwarciu przekonamy się, że to coś w środku jest aktywne, odskoczymy i ciśniemy zapalkę. Oczekamy, aż się uspokoi. I tak dalej...

Gulcharow nadal wyglądał niepewnie, ale był już o wiele bardziej skupiony.

Oblali paliwem szafkę i ziemię wokół niej, po czym sierżant się wycofał. Krakowicz odciągnął rygiel i ze szczękiem otworzył drzwi. Dragosani leżał, wpatrując się w niebo. Jego pierś drgała lekko, ale na tym się kończyło. Ledwie Krakowicz zaczął ostrożnie wlewać awgas do szafki, stojąc przy nogach nekromanty, Gulcharow zbliżył się do niego.

– Nie lej za dużo – tym razem sierżant ostrzegał – bo wyłeci w powietrze jak bomba!

Kiedy paliwo, parując wściekle, wsiąkało w ciało Dragosaniego, jego tors zadrgał gwałtownie. Krakowicz opuścił kanister, popatrzył i cofnął się nieco. Gulcharow stał poza zasięgiem niebezpieczeństwa z przygotowaną zapalką. Z torsu nieboszczyka wyrosła oślizgła, szarozielona macka. Koniuszek jej przekształcił się w guz wielkości pięści, który z kolei przeistoczył się w oko. Krakowicz pojął, że nie kryje się w jego spojrzeniu żaden umysł, żadna zdolność czucia. Oko gapiło się pusto, nie nawiązując kontaktu, nie wyrażając nic. Wątpił, czy widziało cokolwiek. A z pewnością nie istniał już żaden mózg, któremu mogło przekazać swoje spostrzeżenia. Przemieniło się na powrót w protoplazmę, z której wyro-

sły małe szczęki, kłapiące bezmyślnie. Wreszcie i one znikły.

– Feliksie, uciekaj stamtąd! – Gulcharowa ponosiła nerwy.

Krakowicz cofnął się na bezpieczną odległość. Sierżant zapalił zapalniczkę i rzucił. Niczym wydłużona dysza testowanego silnika odrzutowego szafka wywaliła z siebie bladoniebieską strugę ognia huczącego w mroźnym powietrzu, rozedrganą kolumnę intensywnego żaru. I wtedy Dragosani usiadł.

Gulcharow uczeplił się Krakowicza, zawisł na nim.

– O Boże! O matko! On żyje! – wykrztusił.

– Nie – zaprzeczył Krakowicz, wyrывая się z jego uścisku. – To coś w nim żyje, ale jest bezmyślne. Sam instynkt, pozbawiony władzy mózgu. Chętnie by uciekło, ale nie wie jak ani nawet przed czym miałoby uciec. To sprawa reakcji, a nie umysłu. Patrz, patrz! Topi się!

I rzeczywiście, wyglądało na to, że Dragosani się topi. Nad jego szarym skorupą kłębił się dym, warstwy skóry łuszczyły się, podsycając ogień, tłuszcz ściekał jak wosk ze świecy, ginąc w płomieniach. Istota we wnętrzu nieboszczyka poczuła żar, zareagowała. Kadłub Dragosaniego dygotał, wibrował, skręcał się w konwulsjach. Ręce wystrzeliły przed siebie, potem opadły na ścianki rozpalonej szafki, drgając bezładnie. Spalone na wiór ciało zaczęło tu i ówdzie pękać, uwalniając miotające się chaotycznie macki, które zaraz topiły się i spływały w głąb prymitywnego pieca.

Po krótkiej chwili ciało nekromanty opadło i znieruchomiało. Dwaj mężczyźni stali na śniegu, obserwując dopalające się zwłoki. Trwało to może ze dwadzieścia minut, ale mimo to nie odchodzili...

\*  
\*   \*

Dwudziesty siódmy sierpnia 1977. Godzina piętnasta.

Wielki londyński hotel, oddalony o kilka kroków od Whitehall, krył w sobie więcej, niż sugerowała jego fasada. Ostatnie piętro w całości odstąpiono firmie „międzynarodowych finansistów” – i na tym kończyła się wiedza dyrektora hotelu w tej materii. Firma miała na tyłach budynku własną

winde, prywatne schody, a nawet własną drabinę przeciwpożarową. Fakt, że to piętro wykupiono, wyłączało je całkowicie spod kontroli hotelu i z jego sfery zainteresowań.

Krótko mówiąc, było ono kwaterą główną najtajniejszej ze wszystkich brytyjskich tajnych służb: INTESP – angielskiego odpowiednika rosyjskiej organizacji stacjonującej pod Moskwą w Zamku Bronnicy. Hotel był jedynie kwaterą główną. Istniały także dwie „fabryczki”, jedna w Dorset, a druga w Norfolk, połączone bezpośrednio ze sobą i z londyńską placówką przez telefon, radiotelefon i komputer. Rzecz jasna, że takie połączenia, mimo iż ekranowane klauzulą najwyższej tajności, były podatne na ewentualne nadużycia, ktoś przebiegły mógłby się tam wkraść pewnego dnia. Pozostawało mieć nadzieję, że zanim to nastąpi, wydział wyszkoli swoich telepatów do tego stopnia, iż cały technologiczny złom okaże się zbędny. Fale radiowe wędrują bowiem zaledwie z prędkością stu osiemdziesięciu sześciu tysięcy mil na sekundę, a ludzka myśl przemieszcza się natychmiast, niosąc ze sobą daleko bardziej żywy i konkretny obraz.

O tym właśnie rozmyślał Alec Kyle, siedząc przy swoim biurku i formułując Regulamin Bezpieczeństwa dla sześciu oficerów Wydziału Specjalnego, których jedynym zajęciem było zapewnienie ochrony osobistej miesięcznemu niemowlakowi, dziecku, które nazywało się Harry Keogh. Harry Junior – przyszedłszy szef INTESP.

– Harry – powiedział głośno Kyle, nie kierując tych słów do nikogo – jeżeli nadal chcesz, możesz dostać tę robotę od zaraz.

– *Nie!* – w umyśle Kyle’a natychmiast pojawiła się odpowiedź, zadziwiająco czytelna. – *Nie teraz, może nigdy!*

Wyprostował się. Wiedział, czego doznał, zetknął się z czymś podobnym przed ośmioma miesiącami. Skontaktowało się z nim niemowlę, o którym myślał, dziecko, którego umysł zawierał wszystko, co pozostało z największego talentu paranormalnego na świecie: Harry’ego Keogha.

– Chryste! – wyszeptał Kyle. Przypomniał sobie sen, a raczej koszmar, jaki miał poprzedniej nocy. Śniło mu się, że był pokryty pijawkami, wielkimi jak kocięta. Ich paszczki wczepiały się w niego, by sączyć krew, podczas gdy on skakał i skomlał w cieniu nieruchomych drzew, aż wreszcie stał

się zbyt słaby, żeby dalej walczyć. Upadł na ziemię, na sosnowe igły, a pijawki wsysały się w niego i wiedział, że sam staje się pijawką.

I ten właśnie lęk, na szczęście, go obudził. Jeśli zaś chodziło o znaczenie snu, nie było się nad czym zastanawiać. Kyle dawno już porzucił próby odczytywania sensów z takich proroczych migawek. Doszedł do wniosku, że sprawiały tylko kłopot: były zazwyczaj zagadkowe, rzadko same się wyjaśniały. Miał pewność, że ten sen był jedną z tych dziwnych projekcji, a teraz sądził, że i fakt, który miał miejsce przed chwilą, łączył się z nim w jakiś sposób.

– Harry? – rzucił pytanie w oziębione nagle powietrze. Oddech pojawił się w postaci kłębu pary. W przeciagu paru sekund temperatura spadła. Tak jak poprzednim razem.

Na środku pokoju, przed biurkiem Kyle’a, coś się formowało. Dym z papierosa rozproszył się, powietrze zawibrowało. Kyle wstał, podszedł szybko do okna i opuścił żaluzje. Pokój pociemniał, a sylwetka przed biurkiem stała się wyraźniejsza.

Nagle zabrzączał interkom – Kyle podskoczył. Rzucił się do biurka, wcisnął klawisz odbioru.

– Alec, coś tu jest! – wysapał jakiś głos.

Połączył się z nim Carl Quint, najwyższej klasy telegnosta, wykrywacz. Kyle nacisnął klawisz nadawania, przytrzymując go dłużej.

– Wiem. Jest tu teraz ze mną. Ale wszystko w porządku. W pewnym sensie spodziewałem się go. – Wcisnął jeszcze klawisz łączności ogólnej.

– Tu Kyle. Tak długo, jak to potrwa, nie chcę z nikim rozmawiać – przemówił do pracowników kwatery. – Żadnych nowin, żadnych telefonów, żadnych pytań. Słuchajcie, jeśli chcecie, ale nie próbujcie się wtrącać. Połączę się z wami ponownie.

Dotknął klawisza zabezpieczeń umieszczonego na terminalu osobistego komputera. Zamki okien i drzwi zablokowały się z trzaskiem. Teraz był sam na sam z Harrym Keoghiem.

Próbował zachować spokój i wpatrywał się w ducha Keogha znajdującego się po drugiej stronie biurka. Wróciła do niego dawna myśl, która tak naprawdę nie opuszczała go od pierwszego dnia pracy w INTESP.

– *Cholernie pocieszna ekipa. Roboty i romantycy. Supernauka i sprawy nadnaturalne. Telemetria i telepatia. Komputerowe tabele prawdopodobieństwa i jasnowidzenie. Gadżety... i duchy!* – wyszeptał do siebie.

– *Nie jestem duchem, Alec* – powiedział Keogh z lekkim, niematerialnym uśmieszkiem. – *Myślałem, że już przez to przeszliśmy poprzednim razem.*

– *Poprzednim razem?* – powiedział głośno, gdyż tak było mu łatwiej. – *To miało miejsce osiem miesięcy temu, Harry. Zacząłem myśleć, że już o tobie nie usłyszymy.*

– *Może tak by się stało* – odparł tamten, nie poruszając wcale wargami. – *Wierz mi, wiele miałem do roboty. Ale... coś się dzieje.*

Kyle uspokoił się, puls stopniowo powracał do normy. Wychylił się z krzesła, przyglądając się uważnie przybyszowi. To był Keogh. A jednak nie całkiem taki sam jak poprzednim razem. Wtedy pierwszą myślą Kyle’a było, że ta zjawą jest czymś nadnaturalnym. Nie paranormalnym czy wywołanym przez zdolności ponadzmysłowe, ale właśnie nadnaturalnym, niezemskim, nie z tego świata. Tak jak i teraz skanery biurowe nie wykryły jej. Pojawiła się, opowiedziała mu fantastyczną, a jednak prawdziwą historię i ulotniła się bez śladu. Nie, nie całkiem bez śladu, gdyż zanotował wszystko, co mówiła. Nawet na samą myśl o długich godzinach pisania bolał go jeszcze przegub. Nie można było jednak sfotografować zjawy, zarejestrować jej głosu, skrzywdzić jej lub zakłócić w jakikolwiek sposób jej pobytu.

Cała kwatera główna słuchała teraz rozmowy Kyle’a z tym... Harrym Keoghiem, ale słychać było jedynie głos szefa. A mimo to Keogh znajdował się tutaj, przynajmniej termostat centralnego ogrzewania na to wskazywał. System grzewczy podkręcił się o kilka kresek, by zrównoważyć nagły spadek temperatury. No i Carl Quint też o tym wiedział.

Przybysz zdawał się być narysowany bladoniebieskim światłem, bezcielesny jak księżycowa poświata, mniej realny niż kłób dymu. Niematerialny, ale kryjący w sobie moc. Niewiarygodną moc!

Biorąc pod uwagę fakt, że jego widmowe nogi nie dotykały podłogi, należałoby uznać, że Keogh ma pięć stóp i dziecięcy cali wzrostu. Gdyby jego ciało było materią, a nie po-

świata, ważyłby może sześćdziesiąt do sześćdziesięciu pięciu kilogramów. Wszystko w nim lekko fosforyzowało, jakby odbijało jakiś delikatny wewnętrzny blask, Kyle nie mógł więc określić barw. Rozwichrzone włosy mogły być jasnoblonde. Keogh miał dwadzieścia jeden albo dwadzieścia dwa lata.

Jego oczy intrygowały. Wpatrywały się w Kyle'a, a jednocześnie niemal przenikały przez niego, jakby to on był zjawą. Były niebieskie – tak jasne i świetliste, że niemal bezbarwne – ale kryło się w nich coś tajemniczego, niezgłębiona wiedza, arcypotężna moc. Jakby zamknięto w nich mądrość wieków, jakby pod powłoką niebieskawej mgiełki spoczywała mądrość stuleci.

Rysy twarzy miał wspaniałe; cerę nieskazitelną niczym chińska porcelana; delikatne, szczupłe dłonie, zwężające się ku końcom palców; ramiona nieco pochylone. Keogh był po prostu... młodym mężczyzną. Czy może – był nim kiedyś...

A teraz? Teraz stał się kimś więcej. Ciało Harry'ego Keogha nie istniało fizycznie, realnie, ale umysł wciąż trwał. I umysł ten zakorzenił się w nowym, dosłownie nowym, ciele. Kyle zauważył, że zaczyna przyglądać się nowemu, niezwykle elementowi widma, i szybko się opanował. „Co tu właściwie jest do studiowania? A w każdym razie to może zacząć, nie ma teraz znaczenia. Liczy się tylko fakt, że Keogh przybył i miał coś ważnego do przekazania” – pomyślał.

– Coś się dzieje? – Kyle powtórzył stwierdzenie Keogha, zamieniając je w pytanie. – Co takiego, Harry?

– *Coś potwornego! Teraz mogę ci podać jedynie ogólne dane, po prostu nie wiem wszystkiego, jeszcze nie. Ale pamiętasz, co ci mówiłem o rosyjskim Wydziale E? I Dragosanim? Wiem, że nie miałeś okazji, żeby to sprawdzić, ale czy się chociaż tym zainteresowałeś? Czy wierzysz w to, co powiedziałem ci o Dragosanim?*

Podczas gdy Keogh mówił, Kyle wpatrywał się, zafascynowany, w ten element zjawy, który nie istniał przy poprzednim spotkaniu. Teraz, jakby nałożone na obraz brzucha, zawieszone i wolno obracające się wokół własnej osi, wewnątrz przestrzeni, jaką zajmowała sylwetka Keogha, unosiło się nagie dziecko. Chłopczyk czy raczej widmo chłopczyka, równie niematerialne, jak sam Harry. Dziecko kuliło się niczym

plód, pływając w jakiejś niewidzialnej, wirującej cieczy. Wyglądało jak niezwykle preparat biologiczny lub hologram. Był to jednak obraz dziecka rzeczywistego i żywego, stanowiącego – o czym Kyle doskonale wiedział – dopełnienie Harry'ego Keogha.

– O Dragosanim? – Kyle wrócił na ziemię. – Tak, wierzę ci. Muszę ci wierzyć. Sprawdziłem, co się dało, i wszystko, o czym mówiłeś, potwierdziło się. A co do wydziału Borowitza: to, czego tam dokonałeś, było niesamowite. Rosjanie skontaktowali się z nami w tydzień później, pytając, czy chcemy ciebie... to znaczy...

– *Moje ciało?*

– Tak, czy mają je nam zwrócić. Pojmujesz, skontaktowali się z nami. Bezpośrednio. Nie przez kanały dyplomatyczne. Nie byli jeszcze przygotowani na ujawnienie swego istnienia i sądzili, że my również wolimy pozostawać w cieniu. A zatem i ty właściwie nie istniałeś, ale pomimo to pytali, czy chcemy cię z powrotem. Po śmierci Borowitza ich szefem został Feliks Krakowicz. Zaproponował, że możemy cię zabrać, jeżeli zdradzimy, jak dokonałeś tego spustoszenia. Na czym dokładnie polegało owo spustoszenie. Przykro mi, Harry, ale musieliśmy się ciebie wyprzeć, powiedzieć im, że cię nie znamy. Prawdę mówiąc, nie znaliśmy cię. Tylko ja znałem, a przede mną sir Keenan. Gdybyśmy jednak przyznali, że byłeś jednym z nas, twoja akcja mogłaby zostać odczytana jako wypowiedzenie wojny.

– *To była raczej napaść! Słuchaj, Alec, nie możemy gawędzić tak długo, jak ostatnim razem. Mogę nie mieć czasu. Na planie metafizycznym mam względną swobodę. W Kontinuum Möbiusa jestem czynnikiem niezależnym. Ale ze światem fizycznym wiąże mnie mały Harry. Teraz śpi i mogę używać jego podświadomego umysłu jako swojego własnego. Ale wystarczy, że malec się zbudzi, i umysł będzie należał do niego. Ściągnie mnie jak magnes. Im silniejszy się staje, im więcej się uczy, tym bardziej ogranicza moją swobodę. W końcu będę zmuszony na zawsze go opuścić, na rzecz bytu na drodze Möbiusa. Wyjaśnię to bliżej w przyszłości, jeżeli będę miał okazję. Teraz jednak nie wiemy, jak długo będzie spał, musimy zatem mądrze wykorzystać nasz czas. A to, co mam do przekazania, nie może czekać.*

– I w jakiś sposób dotyczy Dragosaniego? – Kyle zmarszczył brwi. – Ale Dragosani nie żyje. Sam mi to powiedziałeś.

– *Pamiętasz, kim był Dragosani?* – Twarz Keogha, twarz jego widma, spoważniała.

– Był nekromantą – odpowiedział natychmiast Kyle, bez cienia wątpliwości. – Podobnie jak ty... – od razu zauważył swój błąd.

– *W odróżnieniu ode mnie!* – poprawił go Keogh. – *Byłem i jestem nekroskopem, a nie nekromantą. Dragosani wykradał umarłym ich sekrety, jak... jak obłąkany dentysta, wrywając zdrowe zęby bez znieczulenia. Ja rozmawiam z umarłymi i ich szanuję. Oni mnie również szanują. W porządku, wiem, że się przejęzyczyłeś. Wiem, że nie miałeś tego na myśli. Tak, był nekromantą. Ale z racji tego, co uczynił z nim Pradawny Stwór, był jeszcze kimś. Kimś o wiele gorszym.*

– Chodzi ci o to, że był wampirem. – Kyle wiedział już wszystko.

Migający wizerunek Keogha przytaknął.

– *O to właśnie mi chodzi. I dlatego tu teraz jestem. Widzisz, jesteś jedyną osobą na świecie, która może coś zdziałać w tej sprawie. Ty i twój wydział, może jeszcze wasi rosyjscy konkurenci. Kiedy już dowiesz się, o co mi chodzi, będziesz musiał coś z tym zrobić.*

Keogh przemawiał tak sugestywnie, jego psychiczny głos niósł w sobie tyle napięcia, że dreszcz przeszył ciało Kyle’a.

– Z czym, Harry?

– *Z pozostałymi* – odpowiedziała zjawą. – *Widzisz, Alec, Dragosani i Tibor Ferency nie byli wyjątkami. I Bóg jeden wie, ile ich jeszcze zostało!*

– Wampirów? – zadrżał Kyle. Aż za dobrze pamiętał historię, którą Keogh opowiedział mu przed ośmioma miesiącami. – Jesteś pewien?

– *O tak. W Kontinuum Möbiusa, wyglądając przez drzwi czasu minionego i czasu przyszłego, widziałem ich szkarłatne nici. Nie poznałbym ich, może nigdy bym na nie nie trafił, gdyby nie krzyżowały się z niebieską linią życia małego Harry’ego. I z twoją też!*

Wiadomość o tym, niczym zimne ostrze psychicznego noża, trafiła prosto w serce Kyle’a.

– Harry – zająknął się. – Lepiej... powiedz mi wszystko, co wiesz, a potem, co mam zrobić.

– *Powiem ci tyle, ile mogę, a potem spróbujemy ustalić, co można zdziałać. A co do tego, skąd wiem to wszystko...* – Widmo wzruszyło ramionami. – *Jestem nekroskopem, pamiętasz? Rozmawiałem z samym Tiborem Ferenczym, jak mu to kiedyś obiecałem. Rozmawiałem też z kimś innym. Niedawną ofiarą. Więcej o nim potem. Opowieść pochodzi jednak głównie od Tibora...*